

Wyspa stosów i szubienic

20 czerwca 2015

Jedyny król w historii świata, który napisał traktat o czarownicach, zasiadał na angielskim tronie. Książka nosiła tytuł „Demonologia”, a jej autorem był Jakub I Stuart. Dziś brzmi to jak historyczna ciekawostka, był to jednak wstęp do tysięcy egzekucji, bo mniej więcej co dziesiąta czarownica, którą zgładzono w Europie, żyła na Wyspach. Salem uczyło się od nich...

Historia Wysp Brytyjskich zna dwóch wielkich łowców czarownic, którzy z ogromnym wigorem tropili, torturowali i wysyłali na stos kobiety „zajmujące się” magią. Jednym z nich był Jakub I Stuart, w Szkocji znany jako „VI”. Drugim Matthew Hopkins, który w czasie cromwellowskiej rewolucji obwołał się „Generalnym łowcą Wiedźm”. Łączyły ich dwie rzeczy. Po pierwsze byli protestantami, a ci zawsze z większym zdecydowaniem zwalczali czarownictwo. Drugą cechą wspólną było to, że żyli w XVII wieku, który na Wyspach był stuleciem polowań na wiedźmy.

Stuart był autorem liczącego 80 stron traktatu pt. „Demonologia”. Pisał w nim: „Czarownictwo zostało bez żadnych wątpliwości dowiedzione przez Pismo Święte, codzienne doświadczenie oraz wyznania win”. Wyznania uzyskiwane za pomocą tortur, które były – jego zdaniem – najwłaściwszą metodą działania w sprawach o czarownictwo, bo najczęściej doprowadzały do potwierdzenia podejrzeń. Dzieło szkocko-angielskiego króla zawierało nie tylko dowody na istnienie czarownic, ale też zalecenia, jak je wykrywać i z nimi postępować. „Nie uderzyć, kiedy Bóg oczekuje uderzenia i bezwzględnej kary, jest wielkim błędem i zdradą Boga. To nie tylko bezprawne, ale też bez wątpienia porównywalne z samym grzechem czarownictwa” – pisał. Jaka była właściwa kara? Jakub uważał, że rzecz jest zaraźliwa, dlatego jedynym słusznym był wyrok śmierci. Sam podkreślał, że najbardziej lubi, gdy

wykonuje się go za pomocą ognia.

Do pisania się oczywiście nie ograniczył. Na angielskim tronie zasiadł w 1603 r. Wcześniej rządził w Szkocji, gdzie w czasie zaledwie kilku lat spłonęły setki oskarżonych o stosowanie magii. Jak na tak niewielki kraj, była to ogromna liczba, a przecież statystyka to nie wszystko. Na szkockim dworze atmosfera przypominała tę znaną z czasów stalinowskich. Niemal każdy mógł zostać oskarżony o czarownictwo. Stuart wierzył w jego istnienie tak mocno, że Duńczycy wykorzystali to, by zażegnać dyplomatyczny kryzys. Kiedy Anna Duńska, żona monarchy, za pierwszym razem nie dopłynęła do swojego nowego kraju, pojawiły się wątpliwości dotyczące chęci zawarcia szkocko-duńskiego sojuszu. Duńczycy musieli znaleźć wytłumaczenie, które udobrucha porywczego pana młodego. Tym stało się sześć kobiet, które zatrzymano i za pomocą tortur zmuszono do przyznania się, iż sztorm, który przeszkodził królowej w podróży, był wynikiem ich czarów (sic!). Wszystkie skończyły na stosie. Sojusz przetrwał.

WYSPA STOSÓW I SZUBIENIC

Stuart szkockie zwyczaje przeniósł do Anglii. Nie żeby wcześniej nie rozpalano tam stosów. Niesławny „młot na czarownice” znano na Wyspach od przynajmniej 100 lat i niekiedy stosowano. Jednak wcześniejsi monarchowie robili to raczej niechętnie. Procesom się nie sprzeciwiali, ale do okrucieństwa nie zachęcano, a po karę śmierci sięgano bardzo rzadko. Częstsza była publiczna pokuta i krótkie więzienie. Pokazowe procesy organizowano, ale nie były codziennością. Festiwal okrucieństwa zaczął się, gdy tron objął Stuart, i miał trwać niemal nieustannie przez całe stulecie. Każdego roku w Szkocji palono, a w Anglii częściej wieszano niewinnych ludzi.

Kobiety były wówczas zagrożone z byle powodu. Obecność diabła poznawano np. po rozsypanej soli, niespodziewanej chorobie, których wówczas nie brakowało, lub śmierci gospodarskiego zwierzęcia. Tak samo było z klęskami żywiołowymi, a nawet

zwykłym deszczem czy nieurodzajem... Wymieniać można bez końca. Każde takie wydarzenie w i tak już zubożałym społeczeństwie wymagało kozła ofiarnego. Dyżurnym były wiejskie znachorki, które zapewniały ludziom jedyną pomoc medyczną, na jaką mogli liczyć. Jedyną, bo uczeni lekarze byli dostępni przede wszystkim dla ludzi bogatych. Co zresztą mogło być z korzyścią dla reszty, bo leczyć jeszcze wtedy nie potrafiono, a upuszczanie krwi należało do terapii, których lepiej było unikać. Oskarżone torturowano, stawiano przed świeckim sądem (tę zasadę wprowadził Jakub I), dla pozorów sądzono i palono na stosie lub wieszano. Czasami zamiast znachorek winne były służące.

Jednak niemal wszystkie ofiary łączyły trzy wspólne cechy: były stare lub były rodziną starej „wiedźmy”, były kobietami (92 proc. ofiar procesów czarownic na Wyspach to kobiety) i nie miały mężów. To ostatnie uważano za szczególnie istotne, ponieważ doktryna wskazywała, że kobieta jest istotą słabą, głupią i pozbawioną moralnych hamulców. Jedynie mąż miał dawać jej siłę, by przeciwstawić się Złemu. Gdy go brakowało – Diabeł miał ułatwione zadanie.

To wtedy odbyły się najbardziej znane angielskie procesy czarownic. Te – tak jak atmosfera na dworze Stuarta – przypominały pokazowe sprawy sądowe z czasów stalinowskich. Istniała wina, musiał być i winny, a najważniejsze było przyznanie się. Najmocniej w historii zapisał się proces wiedźm ze wzgórza Pendle. Tam 12 osób, w tym kobiety należące do trzech pokoleń jednej rodziny, oskarżono o to, że czarami spowodowały śmierć na 10 osób. Z 12 oskarżonych skazano 10 osób i powieszono je w 1612 r. Podobnych procesów było w kolejnych latach jeszcze kilka. Do dziś można w Lancashire zwiedzać ich szlakiem. A nieopodal rozegrał się dramat słynnego procesu wiedźm z Belvoir, który Tracy Borman wspaniale sportretowała w książce „Witches: A Tale of Sorcery, Scandal and Seduction”. Sama sprawa była typowa, więc może posłużyć za ilustrację. Może poza tym, że pewną rolę odegrał w

niej sam król, a bardzo dużą jego... kochanek.

WIEDZMY Z BELVOIR

Francis Manners był panem na zamku w Belvoir. To oznaczało, że jest jednym z najbogatszych ludzi na Wyspach. Miał żonę Cecily i dwóch synów – Henry’ego oraz Francisa, a także córkę Catherine. Miał też setki pracowników i służących. Wśród tych ostatnich były trzy kobiety o nazwisku Flowers: ponad 50-letnia Joan oraz jej dwie córki – Margaret i Philippa. Akcja dramatu, w którym tym osobom przypisano główne role, rozegrała się pomiędzy latami 1612 i 1620.

Początkiem była wizyta Jakuba I w Belvoir. Monarsze wizyty były wydarzeniem, a hrabia Rutland – taki tytuł nosił Manners – słynął z tego, że potrafił zapewnić wszystkie rozrywki oraz zaspokoić każdą potrzebę swojego króla oraz... jego faworytów. Do tego potrzebna była dodatkowa służba. Tuż przed przyjazdem króla zatrudniono więc kilkadziesiąt osób, wśród nich i panie Flowers. Część z nowo zatrudnionych została na zamku po odjeździe Jakuba i przydała się, bo ten w kolejnych latach wracał tam kilkukrotnie. Jednak Joan i jej córki nie miały szczęścia. Reszta służby ich nie lubiła i zadbano o to, by nie zagrzały miejsca na zamku zbyt długo. Zrobiono to za pomocą plotki. Podszeptowano hrabinie, że kobiety są złodziejkami, ich obyczaje są nie najlepsze, moralność wątpliwa, a kto wie – może są też czarownicami? Skończyło się ich zwolnieniem na początku 1613 r., w czasie którego Margaret powiedziała o kilka słów za dużo. Sklęła soczyście swoich pracodawców, życząc im wszystkiego, co najgorsze. W świecie, w którym rozsypana sól mogła zapędzić kogoś na stos, mogły to zrobić także przekleństwa. Zwłaszcza gdy złe życzenia się spełniły, bo wtedy z wyrazu bezsilnej złości zmieniały się w... urok.

Wkrótce po zwolnieniu trójki kobiet zachorował i zmarł najstarszy syn pary hrabiowskiej – Henry. Plotki zaczęły narastać, a Joan Flowers wkrótce postrzegano jako „potworną i pełną zła niewierzącą kobietę, która rzuca zaklęcia i

przekleństwa". Szeptano, że to ona oraz jej córki są winne śmierci młodego panicza. Sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy niewiele później zachorował też Francis oraz Catherina. Ta druga pozbierała się dość szybko, ale Francis mimo uwagi niezliczonego grona lekarzy, a wśród nich i takich, których specjalnością było odczynianie uroków, nie wrócił do zdrowia. W pewnym momencie – mimo, a może za sprawą podejrzeń o bycie czarownicą – zwrócono się o pomoc nawet do Joan Flowers. Jednak i ona nie pomogła.

CZAROWNICE GINĄ, KOCHANEK ZYSKUJE

Chłopak zmarł w 1618 r. Na płycie nagrobnej Mannersa w Bottesford – ta istnieje do dziś – napisano, że „obaj synowie hrabiego Rutland padli ofiarą czarów”. Nie było mu trudno w to uwierzyć, bo obsesje związane z czarownicami były u niego równie silne jak u Jakuba I. Należało to zresztą do rzeczy, które łączyły go z królem. Ból i żałoba kazały mu znaleźć wytłumaczenie i wiedźmę, która była winna tej zbrodni. Padło na Joan Flowers, która nadawała się idealnie, bo spełniała wszystkie kryteria: była stara, była kobietą i nie miała męża. Do tego krążyła plotka, że to ona jest winna, a jej córka rzuciła urok na młodych paniczów. Na tortury wzięto całą rodzinę.

Sama Joan nie przyznała się do niczego, bo nie zdążyła. Zmarła w więzieniu, a oficjalna wersja była taka, że chciała udowodnić, iż może połknąć hostię, i się nią zadławiła. Z prawdą z pewnością nie ma to nic wspólnego, tak jak i oskarżenie, które potwierdziły zeznania jej dwóch córek. Te ze szczegółami opisały, jak za pomocą chowańca o imieniu Rutterkin, który pojawiał się pod postacią... kota, dybały na życie hrabiowskich dzieci, a na rodziców sprowadziły bezpłodność. Obciążyły jeszcze trzy inne kobiety. Dlaczego się przyznały? A kto nie przyznałby się łamany kołem? Wyrok mógł być jeden: powieszono je w 1619 r. na zamku w Lincoln.

Pikanterii całej sprawie dodaje to, że bardzo prawdopodobne

jest, iż za całą sprawą stał wieloletni kochanek króla. Kochanek, bo Jakub był biseksualistą i od męskiego towarzystwa nie tylko nie stronił – choć teoretycznie było to wówczas karane śmiercią – ale nawet przedkładał je nad damskie. Człowiek, o którym mowa, nazywał się George Villiers. Tracy Borman zebrała materiały, które świadczą o tym, że to on odpowiadał za zgony dziedziców hrabiowskiego tytułu. Chłopcy mieli zostać otruci. Potrzeba było biedaków, by zamaskować zbrodnię. Dzięki temu, by zostać panem na Belvoir, wystarczyło ożenić się z Catherine. Ślub odbył się rok po egzekucji rodziny Flowers.

* * *

Po śmierci Jakuba I histeria nieco się uspokoiła, by z nową siłą wybuchnąć w połowie XVII wieku. Wtedy prawnik Matthew Hopkins sam obwołał się Generalnym Łowcą Wiedźm. Misję realizował przez trzy lata, w czasie których wysłał na szafot... 300 osób. W późniejszych latach na jego metodach wzorowali się m.in. amerykańscy purytanie. W tym i ci, którzy prowadzili słynne procesy w Salem. O samym Hopkinsie dziś mówilibyśmy jako o seryjnym, a może raczej masowym mordercy. Działając w majestacie prawa, zabił więcej osób niż wszyscy angielscy łowcy czarownic przed nim i po nim. Szacuje się bowiem, że w sumie na angielskich stosach i szubienicach zginęło 500 osób. Jednak jeśli Anglię i Szkocję potraktować wspólnie – tu wielką rolę odegrał Jakub I Stuart – ofiar było nawet 4,5 tys. To około 10 proc. wszystkich europejskich czarownic, które skazano na śmierć, i o wiele więcej niż np. w Rzeczypospolitej, będącej w tamtym czasie ostoją tolerancji. Historycy szacują, że w całej Europie ofiar było od 35 do 45 tys. Chcąc tę liczbę przyłożyć do dzisiejszych czasów, należałoby ją pomnożyć mniej więcej przez 10. To tak, jakby w ciągu kolejnych lat na europejskich stosach zginęło pół miliona kobiet.

Autorstwo: Tomasz Borejza

Źródło: eLondyn.co.uk